

DEAN
KOONTZ
APOKALIPSA
ODDA

A silhouette of a person standing on a beach, looking at a smartphone. The background features a city skyline with the sun setting behind the buildings, creating a bright glow and lens flare. The overall color palette is dark with a yellowish-green tint from the sunset.

CO CZEKA TYCH, KTÓRZY OCIERAJĄ SIĘ O ZŁO W NAJCZYSTSZEJ POSTACI?

1

Drugiego dnia mojego pobytu w Roseland, przed zachodem słońca, kiedy szedłem przez ogromny trawnik pomiędzy głównym domem a zagajnikiem eukaliptusów, nagle zatrzymałem się i odwróciłem, ostrzeżony przez instynkt. W moją stronę pędził ogromny czarny ogier — największy koń, jakiego dotąd widziałem. Wcześniej przeglądałem książkę z rasami koni i wiedziałem, że to koń rasy fryzyjskiej. Na koniu jechała blondynka w białej koszuli nocnej.

Bezgłośnie jak każdy duch kobieta popędzała wierzchowca, szybciej. Wałąc kopytami, które nie wydawały żadnego dźwięku, ogier przegalopował przeze mnie... i nic się nie stało.

Mam pewne zdolności. Jestem całkiem niezłym kucharzem, specjalistą od szybkich dań, a oprócz tego miewam prorocze sny. Na jawie zaś czasami widuję duchy zmarłych, którzy z rozmaitych powodów zwlekają z przejściem na Drugą Stronę.

Ten dawno nieżyjący koń i amazonka, teraz jedynie zjawy w naszym świecie, wiedzieli, że tylko ja mogę ich zobaczyć. Pokazawszy mi się dwukrotnie poprzedniego dnia i raz tego ranka, ale z daleka, kobieta najwyraźniej postanowiła bardziej agresywnie zwrócić moją uwagę.

Koń i amazonka objechali mnie szerokim łukiem. Obracałem się, śledząc ich wzrokiem, a oni znowu przycwałowali do mnie i tym razem się zatrzymali. Ogier stanął dęba, bezdźwięcznie przebierając w powietrzu przednimi kopytami, rozdymając nozdrza i przewracając oczami — tak potężny, że cofnąłem się przed nim, chociaż wiedziałem, że jest niematerialny jak sen.

Duchy są dla mnie namacalne i ciepłe w dotyku, równie realne jak ktoś żywy. Same jednak nie mogą mnie dotknąć, ani żeby potargać mi włosy, ani żeby zadać śmiertelny cios.

Ponieważ szósty zmysł komplikuje mi życie, pod innymi względami staram się żyć prosto. Mam mniej dobytku niż mnich. Nie robię kariery kucharza ani żadnej innej, bo brak mi na to czasu i spokoju. Nie planuję przyszłości, tylko wkraczam w nią z uśmiechem na ustach, nadzieją w sercu i zjeżonymi włosami na karku.

Bosonoga piękność jadąca na oklep na fryzie miała na sobie białą jedwabną koszulę nocną, ozdobioną białą koronką i krętymi czerwonymi wstążkami krwi na jedwabiu i w długich blond włosach, chociaż nie widziałem żadnych ran. Koszula zadarła się aż na uda, kolana ścisnęły wznoszące się i opadające boki ogiera. Lewą dłonią amazonka wczepiła się w końską grzywę, jakby nawet po śmierci musiała mocno się trzymać wierzchowca, żeby ich dusze się nie rozłączyły.

Gdyby odtrącenie daru nie oznaczało niewdzięczności, natychmiast zrezygnowałbym ze swoich nadprzyrodzonych wizji. Z radością po całych dniach smażyłbym omlety, które wywołują jęk rozkoszy, i naleśniki tak puszyste, że najlżejszy powiew może je zdmuchnąć z talerza.

Jednak otrzymujemy swoje talenty niezasłużenie i naszym psim obowiązkiem jest wykorzystać je najpełniej i najmądrzej,

jak to możliwe. Gdybym nie wierzył w cudowny charakter mojego talentu i święty obowiązek obdarowanego, do tej pory dostałbym takiego świra, że kwalifikowałbym się na wiele wysokich stanowisk w rządzie.

Ogier tańczył na tylnych nogach, a kobieta wyciągnęła prawą rękę i pokazała na mnie, jakby próbowała powiedzieć, że wie, iż ją widzę, i chce mi przekazać wiadomość. Na jej słicznej twarzy malowała się ponura determinacja, oczy błękitne jak kwiaty kukurydzy nie błyszczały życiem, lecz cierpieniem.

Zsiadła, ale nie zeskoczyła, tylko niemal spłynęła z końskiego grzbietu, i zbliżyła się do mnie, sunąc po trawie. Krew znikła z jej włosów i nocnej koszuli. Kobieta wyglądała teraz jak za życia, zanim odniosła śmiertelne rany, jakby się obawiała, że odstręczy mnie widok posoki. Poczułem jej dotyk, kiedy przyłożyła mi rękę do twarzy, jakby trudniej było jej — duchowi — uwierzyć we mnie, niż mnie uwierzyć w nią.

Za kobietą słońce wtapiało się w odległe morze. Na niebie jaśniało kilka obłoków, niczym flota starożytnych okrętów wojennych o płonących masztach i żaglach.

Widząc, że cierpienie na twarzy kobiety ustępuje nieśmiałej nadziei, powiedziałem:

— Tak, widzę cię. I jeśli mi pozwolisz, pomogę ci przejść na Drugą Stronę.

Gwałtownie pokręciła głową i cofnęła się o krok, jakby się przestraszyła, że dotykiem czy zaklęciem odeślę ją z tego świata. Ale nie mam takiej mocy.

Zdawało mi się, że rozumiem powód jej reakcji.

— Zostałaś zamordowana i zanim odejdziesz, chcesz dopilnować, żeby sprawiedliwości stało się zadość.

Przytaknęła, ale potem znowu pokręciła głową, jakby mówiła: „Tak, ale to nie wszystko”.

Znając zmarłych lepiej, niżbym sobie życzył, mogę wam powiedzieć na podstawie sporego osobistego doświadczenia, że duchy nie mówią. Nie wiem dlaczego. Nawet duchy brutalnie zamordowanych, które rozpaczliwie pragną zobaczyć swoich zabójców na ławie oskarżonych, nie potrafią mi przekazać istotnych informacji ani bezpośrednio, ani przez telefon. I nie mogą wysyłać esemesów. Może dlatego, że przy okazji mogłyby ujawnić jakieś fakty dotyczące śmierci i zaświatów, których my, żywi, nie powinniśmy poznać.

W każdym razie zmarli bywają jeszcze bardziej męczący niż żywi, co jest zadziwiające, biorąc pod uwagę, że to żywi kierują Wydziałem Ruchu Drogowego.

Nie rzucając cienia, fryzjczyk stał z uniesioną głową w ostatnich blaskach tonącego słońca, dumny niczym patriota dzierżący umiłowaną flagę. Ale jedyną flagą były złote włosy jego pani. Nie skubał tutaj trawy, zachowując apetyt na Pola Elizejskie.

Blondynka znowu podeszła bliżej. Wpatrywała się we mnie tak intensywnie, że czułem jej desperację. Zrobiła z ramion kołyskę i zakołysała kilka razy.

— Dziecko? — zapytałem.

„Tak”.

— Twoje dziecko?

Przytaknęła, a potem zaprzeczyła.

Ze zmarszczonymi brwiami, przygryzając dolną wargę, zawahała się, a potem wyciągnęła rękę wnętrzem dłoni do dołu, jakieś metr trzydzieści nad ziemią.

Wprawiony w szaradach duchów, odgadłem, że kobieta

pokazuje obecny wzrost dziecka, które niegdyś urodziła, teraz dziewięcio- lub dziesięcioletniego.

— Już nie jest niemowlęciem. Twoje dziecko.

Przytaknęła z zapalem.

— Czy ono wciąż żyje?

„Tak”.

— Tutaj, w Roseland?

„Tak, tak, tak”.

Na zachodzie starożytne okręty zbudowane z chmur wypalały się od płomiennego oranżu do krwawej czerwieni, a niebo powoli ciemniało do barwy fioletu.

Zapytałem, czy jej dziecko to chłopiec czy dziewczynka, a ona wskazała na pierwsze.

Chociaż nie wiedziałem o żadnych dzieciach w tej posiadłości, widziałem cierpienie malujące się na jej twarzy, więc zadałem najbardziej oczywiste pytanie:

— I twój syn... co? Ma kłopoty?

„Tak, tak, tak”.

Daleko na wschód od głównego domu, ukryty za kępą wiecznie zielonych dębów, znajdował się padok zarośnięty chwastami. Otaczał go na w pół rozwalony drewniany płot.

Stajnie natomiast wyglądały tak, jakby je zbudowano w zeszłym tygodniu. Co dziwne, wszystkie boksy były nieskazitelne: nigdzie ani źdźbła słomy, ani odrobiny kurzu czy pajęczyn, jakby je regularnie szorowano. Ta niezwykła schludność i zapach — czysty i świeży niczym zimowy dzień po śnieżycy — świadczyły wyraźnie, że od wielu lat nie trzymano tam koni; widocznie kobieta w bieli nie żyła od dawna.

Zatem jakim cudem jej dziecko miało dopiero dziewięć czy dziesięć lat?

Dla niektórych duchów dłuższy kontakt jest wyczerpujący i po takim wysiłku znikają na wiele godzin albo dni, zanim odzyskają zdolność manifestacji. Ta kobieta wydawała się obdarzona silną wolą, podtrzymującą jej obecność. Nagle jednak, kiedy powietrze zadrżało i dziwne kwaśno-żółte światło zalało ziemię, zniknęła razem z ogierem — pewnie zabitym w tym samym wypadku, w którym straciła życie jego pani. Nie rozwiali się ani nie rozplynęli stopniowo, poczynając od krawędzi, jak niektóre inne zagubione duchy, tylko zniknęli w ułamku sekundy, kiedy światło się zmieniło.

Dokładnie w chwili, gdy czerwony zmierzch stał się żółty, z zachodu nadleciał wiatr, smagnął zagajnik eukaliptusów daleko za moimi plecami, zaszeleścił w liściach kalifornijskich dębów na południu i zdmuchnął mi włosy na oczy.

Spojrzałem na niebo, gdzie słońce jeszcze nie zaszło, jakby jakiś niebiański chronometrażysta cofnął o kilka minut kosmiczny zegar.

Potem stało się coś jeszcze bardziej niemożliwego. Niebo, żółte od horyzontu po horyzont, bez jednej chmurki, przecinały smugi, które wyglądały jak rzeki dymu albo sadzy płynące na wysokościach. Szare, nakrapiane czernią, pędzące z ogromną szybkością. Rozszerzały się, zwężały, zapętleły, niekiedy się zlewały, ale potem znowu rozdzielały.

Nie miałem pojęcia, czym są te rzeki, jednak ich widok uderzył w mroczną strunę mojej intuicji. Podejrzewałem, że wysoko nade mną przesuwają się tumany sadzy, popiołu i drobnych szczątków, które niegdyś były miastami, metropolie rozpylone przez eksplozje o bezprecedensowej sile i liczebności, potem wyrzucane wysoko w atmosferę, pochwycone i zatrzymane na orbicie przez prąd strumieniowy,

przez wiele prądów strumieniowych w odmienionej wojną troposferze.

Wizje na jawie zdarzają mi się jeszcze rzadziej niż prorocze sny. Doświadczając ich, zdaję sobie sprawę, że to wszystko dzieje się tylko w moim umyśle. Jednak ten spektakl wiatru, złowieszczego światła i koszmarnych wzorów na niebie nie był wizją. Był równie prawdziwy jak kopniak w pachwinę.

Serce mi waliło, zaciśnięte jak pięść. Po żółtym sklepieniu przemknęło stado stworów, jakich nigdy jeszcze nie widziałem w locie. Nie potrafiłem rozpoznać ich prawdziwej natury. Były większe od orłów, ale bardziej przypominały nietoperze, setkami nadlatujące z północnego zachodu, opadające coraz niżej, w miarę jak się zbliżały. Moje serce załomotało jeszcze mocniej i miałem wrażenie, że rozum też puka, żebym go wypuścił i otworzył się na całe szaleństwo tej sceny.

Zapewniam, że nie jestem szalony w żadnym sensie, ani jak seryjny morderca, ani jak człowiek, który nosi na głowie durszlak zamiast kapelusza, żeby CIA nie mogło kontrolować jego myśli. W ogóle nie lubię kapeluszy, chociaż nie mam nic przeciwko odpowiednio używanym durszlakom.

Zabijałem więcej niż raz, ale zawsze w samoobronie albo w obronie niewinnych. Takich zabójstw nie można nazwać morderstwami. Jeśli uważacie, że to morderstwa, zazdroszczę wam bezpiecznego życia.

Nieuzbrojony i sam jeden w obliczu nadciągającej chmury stworów, nie wiedząc, czy zamierzają mnie rozszarpać, czy obojętnie minąć, nie miałem złudzeń co do możliwości samoobrony. Odwróciłem się i zbiegłem po długim zboczu w stronę eukaliptusowego gaju, osłaniającego domek gościnny, gdzie mieszkałem.

Chociaż zagrożenie wydawało się niemożliwe, nie wahałem się ani przez chwilę. Dwa miesiące temu skończyłem dwadzieścia jeden lat, praktycznie przez całe życie kiłem się w niemożliwościach i wiedziałem, że prawdziwa natura świata jest dziwniejsza niż najbardziej osobliwa tkanina, jaką umysł zdolny jest utkać z wątku i osnowy wyobraźni.

Biegając na wschód, spocony zarówno z wysiłku, jak i ze strachu, usłyszałem za plecami przenikliwe wrzaski stada, a potem łopot skórzastych skrzydeł. Odważyłem się obejrzeć i zobaczyłem, jak kołują na porywistym wietrze, z żółtymi oczami tej samej barwy co ohydne niebo. Wszystkie kierowały się do mnie, jakby ich pan i władca obiecał, że uczyni mroczniejszą wersję cudu z chlebem i rybami i rozmnoży mnie w posiłek wystarczający dla tych legionów.

Powietrze znowu zadrżało, żółte światło zostało zastąpione przez czerwone. Potknąłem się, upadłem i przetoczyłem się na plecy. Podnosząc ręce w obronie przed wygłodniałą hordą, ujrzałem nad sobą znajome niebo, puste oprócz paru morskich ptaków w oddali.

Wróciłem do Roseland, gdzie słońce już zaszło, niebo przybrało fioletową barwę, a płonące wcześniej napowietrzne galeony wypaliły się do posępnej czerwieni.

Łapiąc z trudem oddech, podniosłem się i patrzyłem przez chwilę, jak niebiańskie morze robi się czarne i resztki żaru z okrętów-chmur dogasają wśród wschodzących gwiazd.

Chociaż nie lękałem się nocy, rozważa nakazywała stąd odejść. Ruszyłem więc w stronę eukaliptusowego gaju.

Przemienione niebo i skrzydlata groźba, a także duchy kobiety i konia dały mi do myślenia. Zważywszy na niezwykle charakter mojej egzystencji, nie muszę się obawiać, że w sferze pokarmu dla rozmyślań kiedykolwiek zagrozi mi

glód.

2

Po wizji kobiety na koniu i żółtego nieba nie sądziłem, że zasnę tej nocy. Leżałem przy świetle małej lampki, a moje myśli krążyły po ścieżkach grozy.

Nasze narodziny to nasz pogrzeb. Świat jest pełen grobów, zajętych i potencjalnych. Życie to krótka chwila oczekiwania na spotkanie z przedsiębiorcą pogrzebowym.

Chociaż to udowodniona prawda, nie zobaczysz tych słów na kubkach Starbucksa, podobnie jak ostrzeżenia KAWA ZABIJA.

Jeszcze przed przyjazdem do Roseland byłem w tym szczególnym stanie ducha. Wiedziałem, że wkrótce nastrój mi się poprawi. Jak zawsze. Bez względu na wszelkie okropieństwa, jakie mnie spotykają, wystarczy dać mi trochę czasu i niezawodnie poszybuję w górę jak balon wypełniony helem.

Nie znam przyczyny tej pogody ducha. Zrozumienie tego może być kluczowym elementem mojej życiowej misji. Zapewne kiedy wreszcie odkryję, dlaczego potrafię znaleźć humor w najczarniejszych mrokach, przedsiębiorca pogrzebowy wywoła mój numer i przyjdzie pora wybierać

trumnę.

Właściwie nie spodziewam się, że będę miał trumnę. Niebiańskie Biuro Dróg Życiowych — czy jakkolwiek się nazywa — zdecydowało najwyraźniej, że moją podróż po tym świecie ogromnie skomplikują absurdy i akty przemocy, jakimi tak się szczyli rodzaj ludzki. W konsekwencji pewnie zostanę rozdarty na strzępy przez rozwścieczoną tłumę antywojennych demonstrantów i wrzucony do ogniska. Albo przejedzie mnie rolls-royce adwokata broniącego biednych.

Przekonany, że nie zmruję oka, zasnąłem.

O czwartej nad ranem tego lutowego dnia spałem głęboko, pogrążony w niepokojących snach o Oświęcimiu.

Typowa dla mnie pogoda ducha jeszcze się nie ujawniła.

Obudził mnie znajomy krzyk, wpadający przez uchylone okno mojego apartamentu w domku gościnnym. Srebrzysty niczym piszczałki w celtyckiej pieśni lament wszywał w noc i las nitki smutku i tęsknoty. Rozległ się ponownie bliżej, a potem po raz trzeci w oddali.

Te lamentacje trwały krótko, ale przez ostatnie dwa dni budziły mnie nad ranem i nie mogłem już zasnąć. Krzyk wdierał się do krwi, przebiegał przez wszystkie żyły i arterie niczym prąd elektryczny. Brzmiała w nim samotność tak wielka, jakiej dotąd nie znałem, i napełniał mnie niewy tłumaczoną zgrozą.

Ocknąłem się ze snu o nazistowskim obozie śmierci, w którym byłem Żydem przerażonym, że umrze dwa razy. W ogóle nie jestem Żydem, a podwójna śmierć miała sens we śnie, ale nie na jawie. Upiorny zew nocy natychmiast przekuł bańkę snu i wyraziste wizje się rozwiały.

Według obecnego właściciela Roseland i wszystkich, którzy u niego pracowali, te niepokojące krzyki wydawał nur. Albo

nie mieli o niczym pojęcia, albo kłamali.

Nie chciałem obrazić mojego gospodarza ani jego personelu. W końcu ja też nie mam pojęcia o wielu rzeczach, ponieważ nie mogę sobie pozwolić na dalszą edukację. Coraz więcej osób koniecznie chce mnie zabić, więc muszę się skoncentrować raczej na zachowaniu życia.

Ale nawet na pustyni, gdzie się urodziłem i wychowałem, są stawy i jeziora stworzone ręką ludzką i żyją tam nury. Głosy tych ptaków są melancholijne, ale nie takie posępne jak głos, który mnie obudził, przepełnione dziwną nadzieją, nie rozpaczą.

Prywatna posiadłość Roseland leży półtora kilometra od kalifornijskiego wybrzeża. Ale nury to nury, gdziekolwiek się gnieźdzą, nie zmieniają głosów, żeby się dostosować do krajobrazu. To ptaki, nie politycy.

Poza tym nury to nie koguty piejące o stałej porze. A to zawołanie rozlegało się zawsze pomiędzy północą a świtem, długo przed wschodem słońca. I zdawało mi się, że im wcześniej się odzywało każdego nowego dnia, tym częściej się powtarzało w pozostałych do świtu godzinach ciemności.

Odrzuciłem kołdrę, usiadłem na brzegu łóżka i powiedziałem:

— Oszczędź mnie, żebym mógł służyć.

Tej porannej modlitwy nauczyła mnie moja babcia Sugars, kiedy byłem małym chłopcem.

Pearl Sugars była zawodową pokerzystką i często siadała do gry z rekinami kart dwukrotnie większymi od niej, facetami, którzy nie przegrywali z uśmiechem. Nie uśmiechali się nawet wtedy, kiedy wygrywali. Babcia lubiła wypić. Zjadła beczkę wieprzowego tłuszczu w różnych postaciach. Na trzeźwo prowadziła tak szybko, że policja w kilku

stanach Południowego Zachodu nazywała ją Pearl Gaz-Do-Dechy. Jednak żyła długo i zmarła we śnie.

Miałem nadzieję, że jej modlitwa pomoże również mnie; ostatnio jednak zacząłem dodawać jeszcze jedną prośbę. Tego ranka brzmiała:

— Proszę, nie pozwól nikomu mnie zabić przez wepchnięcie rozwścieczonej jaszczurki do gardła.

Prosić Boga o coś takiego wydaje się aroganckie, jednak pewnego razu ogromny psychopata zagroził, że nakarmi mnie na siłę egzotyczną jaszczurką o ostrych zębach, która dostała szału, ponieważ nafaszerowano ją metamfetaminą. Udałoby mu się to, gdybyśmy nie byli wtedy na placu budowy i gdybym nie wykorzystał jako broni aplikatora do pianki izolacyjnej. Obiecał, że mnie wytropi, kiedy wyjdzie z więzienia, i dokończy dzieła z następną jaszczurką.

Ostatnio proszę też Boga, żeby oszczędził mi śmierci w zgniatarce samochodów na złomowisku, śmierci od strzału z pistoletu do wstrzeliwania kołków, śmierci przez przykucie łańcuchem do trupów i wrzucenie do jeziora... W przeszłości cudem przeżyłem te wszystkie rzeczy, obawiam się jednak, że jeśli znowu stanę w obliczu takiego zagrożenia, nie będę miał tyle szczęścia, żeby powtórnie uniknąć tego samego losu.

Nie nazywam się Szczęściarz Thomas. Nazywam się Odd Thomas.

Odd, czyli dziwny. I naprawdę jestem dziwny.

Moja piękna, lecz psychotyczna matka twierdzi, że na metryce urodzenia miało figurować imię Todd. Natomiast mój ojciec, który ugania się za nastolatkami i handluje nieruchomościami na Księżycu — chociaż z wygodnego biura tu na Ziemi — czasami mówi, że umyślnie nazwał mnie Odd.

W tej kwestii skłonny jestem bardziej wierzyć ojcu. Chociaż jeśli nie kłamie, byłaby to jedyna prawdziwa rzecz, którą kiedykolwiek mi powiedział.

Ponieważ wziąłem prysznic przed snem, teraz od razu się ubrałem, żeby być gotowym na... cokolwiek.

Z dnia na dzień Roseland coraz bardziej przypominało pułapkę. Wyczuwałem ukryte mechanizmy, które mogłem uruchomić jednym fałszywym stąpieniem i zwalić sobie na głowę miazdzący ciężar.

Chciałem stąd wyjechać, ale musiałem wypełnić obietnicę, zobowiązanie wobec Damy Dzwonka. Przyjechała razem ze mną z Magic Beach, miasteczka leżącego dalej na północ na wybrzeżu, gdzie o mało mnie nie zabito na wiele sposobów.

Obowiązek nie musi głośno wzywać; wystarczy szept. A jeśli posłuchasz tego wezwania, cokolwiek się stanie, nie musisz niczego żałować.

Stormy Llewellyn, którą kochałem i straciłem, wierzyła, że ten rozdarty konfliktami świat to tylko obóz treningowy, przygotowujący do wielkiej przygody, która nas czeka pomiędzy pierwszym życiem a życiem wiecznym. Mówiła, że błądzimy jedynie wtedy, gdy jesteśmy głusi na głos obowiązku.

Wszyscy odnosimy rany w świecie, który jest strefą wojenną. Wszystko, co kochamy, zostanie nam odebrane, naprawdę wszystko, a na końcu samo życie.

A jednak wszędzie, gdzie spojrzę, widzę na tym polu bitwy piękno, widzę łaskę i obietnicę szczęścia.

Kamienna wieża w eukaliptusowym gaju, w której obecnie mieszkałem, wyróżniała się surowym pięknem, częściowo przez kontrast pomiędzy jej dostojnym masywem a delikatnymi srebrzystozielonymi listkami, opadającymi

kaskadami z gałęzi dookolnych drzew.

Zbudowana na planie kwadratu o boku długości dziewięciu metrów, miała osiemnaście metrów wysokości, jeśli liczyć kopułę z brązu, ale nie niezwykły kwiaton, który przypominał bardzo powiększony wałek naciągowy, koronkę i bigiel starego kieszonkowego zegarka.

Wieżę nazywano domkiem gościnnym, ale z pewnością nie zawsze służyła do tych celów. Wąskie okna kwaterowe otwierały się do środka, ponieważ od zewnątrz zabezpieczały je pionowe żelazne pręty.

Zakratowane okna sugerowały, że w przeszłości wieża była fortecą lub więzieniem. W każdym z tych przypadków musiał istnieć jakiś wróg.

Drewniane, okute żelazem drzwi wyglądały tak, jakby mogły się oprzeć uderzeniom tarana czy nawet kulom armatnim. Za nimi znajdował się przedsionek o kamiennych ścianach. Stamtąd schody po lewej stronie prowadziły do apartamentu na piętrze. Mieszkała tam Annamaria, Dama Dzwonka.

Wewnętrzne drzwi przedsionka, dokładnie naprzeciwko zewnętrznych, otwierały się na parterowe mieszkanie, gdzie zakwaterował mnie obecny właściciel Roseland, Noah Wolflaw.

Moje mieszkanie składało się z wygodnego pokoju dziennego i mniejszej sypialni, jedno i drugie wyłożone mahoniową boazerią, oraz łazienki z ozdobnymi kafelkami z lat dwudziestych zeszłego wieku. Urządzono je w stylu Craftsman: ciężkie drewniane fotele z grubymi poduchami, stoły na kozłach z czopowymi złączami i dekoracyjne kołeczki do bielizny.

Nie wiem, czy witrażowe lampy Tiffany'ego były

oryginalne, ale nie wykluczałem tego. Zapewne kupiono je w czasach, kiedy nie stanowiły jeszcze muzealnych eksponatów o fantastycznej wartości, i zostały w tej położonej na uboczu wieży po prostu dlatego, że zawsze tu były. Charakterystyczną cechą Roseland była niedbała obojętność na bogactwo, które sobą reprezentowało.

Każdy apartament gościnny wyposażony był w aneks kuchenny ze spiżarnią i lodówką zaopatrzoną w podstawowe produkty. Mogłem gotować proste posiłki albo zamówić coś u szefa kuchni, pana Shilshoma, który spełniłby każdą rozsądną prośbę i przysłałby mi tacę z głównego domu.

O tej porze, ponad godzinę przed świtem, niespecjalnie miałem ochotę na śniadanie. Czułbym się jak skazaniec, który ostatniego dnia życia próbuje wmusić w siebie jak najwięcej posiłków, zanim otrzyma śmiertelny zastrzyk.

Gospodarz ostrzegł mnie, żebym od zmierzchu do świtu nie wychodził z domu. Twierdził, że ostatnio w okolicy grasuje co najmniej jedna puma. W sąsiednich majątkach zginęły rozszarpane dwa psy, koń oraz pawie trzymane dla ozdoby. Wielki kot mógł się rozzuchwalić na tyle, żeby zaatakować spacerującego po terenie posiadłości gościa, gdyby nadarzyła się sposobność.

Znałem się na pumach wystarczająco, żeby wiedzieć, że polują równie chętnie za dnia, jak w ciemnościach. Podejrzywałem, że ostrzeżenia Noaha Wolflawa miały mnie zniechęcić do prowadzenia śledztwa w sprawie rzekomych nurów oraz innych nocnych osobliwości Roseland.

Przed świtem tego lutowego poniedziałku wyszedłem z gościnnej wieży i zamknąłem za sobą okute drzwi na klucz.

Zarówno Annamaria, jak i ja otrzymaliśmy klucze oraz surowe pouczenie, żeby zawsze zamykać drzwi wieży. Kiedy

zauważyłem, że puma raczej nie naciśnie klamki i nie otworzy drzwi, nawet niezamkniętych na klucz, pan Wolflaw oświadczył, że żyjemy w początkach nowego mrocznego wieku, że mury i strażnicy nie zapewniają już bezpieczeństwa rezydencjom bogaczy oraz że „zuchwali złodzieje, gwałciciele, dziennikarze, krwiożerczy rewolucyjniści i jeszcze gorsi” mogą się pojawić wszędzie.

Nie odwracał wzroku, kiedy to mówił, i dym nie buchał mu z uszu, chociaż posępny wyraz jego twarzy i złowieszczy ton głosu sprawiały teatralne wrażenie. Myślałem, że żartuje, dopóki nie spojrzałem mu w oczy i nie dostrzegłem tam paranoi jeszcze większej niż u trzynogiego kota otoczonego przez wilki.

Nie wiedziałem, czy jego paranoja jest usprawiedliwiona, ale podejrzewałem, że nie obawiał się ani złodziei, ani gwałcicieli, ani dziennikarzy, ani rewolucjonistów. Przerazali go wyłącznie ci „jeszcze gorsi”.

Wyszedłszy z wieży, ruszyłem wyłożoną kamieniami ścieżką przez wonny gaj eukaliptusowy i dotarłem do podnóża łagodnej pochyłości, prowadzącej do głównego domu. Przedemną rozciągał się wypiełgnowany trawnik, miękki jak dywan.

Na dzikich ugorach otaczających posiadłość, gdzie buszowałem w poprzednich dniach, spośród bujnych traw wyłaniały się majestatyczne kalifornijskie zimozielone dęby tworzące tajemniczy, lecz harmonijny wzór.

Nie znałem miejsca piękniejszego od Roseland, ale też w żadnym innym miejscu nie wyczuwałem tyle zła.

Niektórzy powiedzą, że miejsce to miejsce, nie może być ani dobre, ani złe. Inni znowu stwierdzą, że zło jako realna siła albo istota to beznadziejnie staroświecka koncepcja, że

podłe czyny mężczyzn i kobiet dają się wytłumaczyć taką czy inną teorią psychologiczną.

Nigdy nie słucham takich opinii. Gdybym ich słuchał, już bym nie żył.

Bez względu na pogodę każdego dnia zdawało się, że nad Roseland świeci inne słońce niż to, które oświetla resztę świata. Tutaj znane rzeczy czy zjawiska wywoływały wrażenie obcości i nawet najbardziej solidne, dobrze widoczne przedmioty miały w sobie coś ulotnego.

Wędrując piechotą przez noc, czułem, że nie jestem sam. Ktoś mnie śledził, obserwował.

Przy innych okazjach zdarzało mi się słyszeć szelest, którego nie wywołało nieruchome powietrze, wymamrotane niezrozumiałe słowa, pospieszne kroki. Mój prześladowca, jeśli istniał, zawsze krył się w cieniu albo w zaroślach, albo wyglądał zza rogu.

Podęjrzenie zabójstwa kazało mi krążyć nocą po Roseland. Kobieta na koniu była czyjąś ofiarą, nawiedzała posiadłość, szukając sprawiedliwości dla siebie i swojego syna.

Roseland zajmowało dwadzieścia jeden hektarów w Montecito, zamożnym osiedlu sąsiadującym z Santa Barbara, które samo w sobie tak się różni od slumsów, jak hotel Ritz-Carlton od motelu Batesa z *Psychozy*.

Oryginalny dom oraz pozostałe budynki zbudował w latach tysiąc dziewięćset dwadzieścia dwa — dwadzieścia trzy magnat prasowy Constantine Cloyce, również współzałożyciel jednego z legendarnych studiów filmowych. Miał rezydencję w Malibu, ale Roseland stanowiło dla niego azyl, kosztowną kryjówkę, gdzie mógł się oddawać takim męskim zajęciom, jak jazda konna, strzelanie do rzutków, polowanie na drobną zwierzynę, całonocna gra w pokera i

może też pijackie zawody w waleniu bykiem przeciwnika.

Cloyce był też entuzjastycznym wyznawcą niezwykłych, a nawet dziwacznych teorii głoszonych przez rozmaite wybitne osobistości, począwszy od słynnego medium i jasnowidzki Heleny Pietrowny Bławatskiej, skończywszy na światowej sławy fizyku i wynalazcy Nikoli Tesli.

Krażyły plotki, że Cloyce niegdyś tutaj, w Roseland, finansował tajne badania nad takimi projektami, jak promienie śmierci, nowoczesna alchemia albo telefony, przez które można rozmawiać ze zmarłymi. No, ale niektórzy wierzą również w system emerytalnych ubezpieczeń społecznych.

Stojąc na skraju zagajnika eukaliptusów, przesunąłem wzrok po długim, łagodnym wzniesieniu w stronę głównego domu, gdzie Constantine Cloyce zmarł we śnie w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym, w wieku siedemdziesięciu lat. Na dachu krytym rzymską dachówką jaśniały w blasku księżycy plamy fosforyzujących porostów.

W tym samym roku Roseland kupił, razem z kompletnym umeblowaniem, jedyny, zaledwie trzydziestoletni dziedzic ogromnej południowoamerykańskiej fortuny górniczej. Sprzedał je, również umeblowane, czterdzieści lat później. Był odludkiem i niewiele o nim wiadomo.

W tej chwili tylko kilka okien na piętrze płonęło ciepłym światłem. Należały do luksusowej sypialni Noaha Wolflawa, który zbił spory majątek jako założyciel i zarządca funduszu hedgingowego, cokolwiek to znaczy. Zakładam, że to ma coś wspólnego z Wall Street.

Pięćdziesięcioletni i będący już na emeryturze pan Wolflaw twierdził, że ma uszkodzony ośrodek snu w mózgu. Podobno od dziewięciu lat nie zmrużył oka.

Nie wiedziałem, czy ta ekstremalna bezsenność jest prawdą,

czy kłamstwem, czy też zwykłym urojeniem.

Pan Wolflaw kupił tę rezydencję od nietowarzyskiego dziedzica górniczej fortuny. Odnowił i powiększył dom zbudowany w stylu szkoły architektonicznej Addisona Miznera, stanowiący eklektyczną mieszankę wpływów hiszpańskich, mauretańskich, gotyckich, greckich, rzymskich i renesansowych. Szerokie wapienne tarasy otoczone balustradami schodziły w dół do trawników i ogrodów.

O tej porze przed świtem, kiedy przecinałem wymanikiurowany trawnik, idąc w stronę domu, kojoty na wzgórzach już nie wyły, bo nażarty się dzikich królików i poszły spać. Po wielu godzinach rehotania żaby się zmęczyły, a świerszcze zostały zjedzone przez żaby. Na krótko cisza i spokój spowiły ten upadły świat.

Zamierzałem wyciągnąć się w fotelu z podnóżkiem na południowym tarasie i zaczekać, aż w kuchni zapali się światło. Szef Shilshom zawsze zaczynał pracę przed świtem.

Oba poprzednie poranki zaczynałem razem z szefem kuchni nie tylko dlatego, że robił fantastyczne bułeczki na śniadanie, ale ponieważ liczyłem, że wymknie mu się jakaś wskazówka dotycząca sekretów Roseland. Bronił się przed moją ciekawością, udając odpowiednik roztargnionego profesora w kulinarnym świecie, ale podtrzymywanie tej fikcji wymagało wysiłku, więc prędzej czy później musiał popełnić błąd.

Jako gość miałem swobodny wstęp na parter głównego domu: kuchnia, pokój dzienny, biblioteka, pokój bilardowy i wszystko inne stało przede mną otworem. Pan Wolflaw i jego stały personel uparcie udawali zwyczajnych ludzi, którzy nie mają nic do ukrycia, i przedstawiali Roseland jako uroczy zakątek bez żadnych tajemnic.